

## Moja kariera Marysi

Po powrocie na pewno możemy powiedzieć, że: Iza porusza się dwa razy szybciej (po tym jak przez kilka miesięcy dochodziła do pracy półtorej godziny dzień w dzień, dyskretny marszobieg wszedł jej w krew do tego stopnia, że teraz dostaję zadyszki gdy idziemy gdzieś razem), bardzo ładnie mówi, na przykład *eventually*, jest pewniejsza siebie (to ważne). O sobie mogę powiedzieć, że wyjeżdżając byłem mężczyzną. Do Polski wracałem już jako kobieta.

Było to mój drugi wyjazd do UK. Prawie dziesięć lat wcześniej wyjechałem jako młody-zdolny-ambitny siedemnastolatek na prestiżowe dwuletnie stypendium. Dzięki temu uwolniłem się od szkoły typu zakuj-zdaj-zapomnij, rodziców którzy topili smutki przegrywanej transformacji w oglądaniu telewizji, mieli czas ale brakowało im siły rozmawiać. Do UK jeździłem autobusem, razem z gasarabajterami. Wtedy jeszcze nie było filmów wideo w trakcie jazdy, a emocje dostarczane były przez samych podróżujących, bo nie wiadomo było czy wszyscy dojadą do Londynu. Ja miałem wizę dwuletnią, celnicy witali mnie z uśmiechem. Czułem jednoczesną bliskość i zażenowanie moimi rodakami, którzy kombinowali jak mogli, mówili po angielsku źle, ubrani byli w dresy, nosili wąsy, nieświeżo pachnieli, a w drodze powrotnej obalali flaszkę na tylnym siedzeniu autokaru. Moi angielscy nauczyciele, gdy wspominałem o innych Polakach na Wyspach, tylko uśmiechali się i milczeli. Woleli rozmawiać ze mną o tym czy w Polsce już są bankomaty, o historii Europy według Normana Davisa, o tym, kiedy Polska ma szansę być w Unii Europejskiej. Byłem dla nich egzotycznym przybyszem zza żelaznej kurtyny, a Polska może i ciekawym, ale odległym krajem, dwudziestąktórąś z republik radzieckich, usytuowaną gdzieś na granicy z Finlandią. Gdy dekadę później przekroczyłem Kanał La Manche, na pierwszym postoju, w trakcie którego wszyscy uzupełniali stan kart do telefonów i dzwonili do swoich brytyjskich znajomych, uderzyła mnie pewność siebie z jaką Polacy stąpali po brytyjskiej ziemi. Tego nie było wcześniej. Oni nie udawali już, że jadą na kurs językowy lub do rodziny, nie przepraszali, że są. Wracali do siebie, do domu.

Do powrotu na Wyspy skłoniło mnie uczucie. Iza potrzebowała pieniędzy, ja chciałem jej pomóc oraz odpocząć od normalnych zajęć, zarobić parę tysięcy w parę miesięcy, bo pieniądze zawsze się przydadzą. Od początku nastawialiśmy się, że nie będzie łatwo. Nie baliśmy się, bo mimo, że pochodzimy z „dobrych” domów, nigdy nam się nie przelewało. Ja pamiętam, że jedną zimą, w czasie gdy ojciec znowu zniknął i żyliśmy ze skromnej

pensji matki, przeżyliśmy na chlebie i powidłach śliwkowych z działki dziadka oraz dzięki darmowym obiadom w szkole. Moje dojazdy na stypendium do UK i na drobne kieszonkowe pochłonęły pieniądze ze sprzedanej działki, ale i tak starczało na tyle, żebym mógł co dwa tygodnie kupić sobie jedną czekoladę i raz na semestr zapłacić na piwo. Moi koledzy to rozumieli i z reguły po prostu płacili za mnie. Mimo, że byłem biedny, jakoś bardzo tego nie odczułem, byłem dumny. Dlatego nie zrobił na nas wrażenia pierwszy tydzień, w trakcie którego jechaliśmy tylko na zakupach chińskich, oraz to, że przez kolejne miesiące wydawaliśmy w Anglii na jedzenie mniej, niż gdybyśmy wydali w Polsce. Do Sunville zjawiliśmy się za późno – wszystkie prace w sektorze usługowym na te wakacje były zajęte. Musieliśmy więc kłamać, że chcemy zostać na zawsze. Mieliśmy jednak wypisane na czole: 'jesteśmy Polakami i szukamy pracy na wakacje' i Brytyjczycy albo nas zbywali, albo przeciągali okres rekrutacji tak długo, aby pozbyć się aplikantów, którzy mają tylko pieniądze na tydzień lub dwa szukania pracy. Z setek składanych ofert, Iza dostała właściwie jedną szansę i udało się – dostała pracę za minimalną stawkę. Ja natomiast już po tygodniu wiedziałem że nic nie dostanę, bo a) zjawiliśmy się za późno, b) nie umiem przekonująco kłamać że nic nie umiem, c) jestem facetem ale nie mam 180 wzrostu. Mimo, że przeżyłem już kiedyś szukanie pracy (wyjechałem na studia do Warszawy i musiałem sam się utrzymać), szukanie pracy sezonowej w Sunville było koszmarem i przechodzimy przez to tylko dlatego, że w trudnych momentach ta druga osoba udaje, że jest silna i mówi: wszystko będzie dobrze. Zdarzało mi się wchodzić do knajp a potem wychodząc kręcić do Izy głową na nie – że niby nie ma tam pracy, mimo, że nie pytałem – nie miałem już siły. O ile w czasie rozmów kwalifikacyjnych w Polsce starałem się pokazać co potrafię, tutaj musiałem sukcesywnie zakrywać swoje umiejętności. Mówiłem zbyt dobrze po angielsku, z dnia na dzień pogarszałem swój akcent, pracownicy-obcokrajowcy, którzy przyjmowali moje oferty z reguły mówili gorzej, czasem ledwo mówili. Już po kilku dniach zorientowałem się, że to kim jestem i co umiem tutaj nie gra najmniejszej roli, ważniejsze jest to, kiedy przyjechałem. Jedyną szansą jest więc szukanie pracy stałej, ale to trwa. Na „męskie” prace nie mam szans (kelnerzy muszą być wysocy, fabryki w wakacje nie zatrudniają), pozostają mi prace „dla kobiet”, ale nie w usługach, bo to już wzięte. Pracowałem w Polsce w biurze, więc uderzam w oferty dla sekretarek. Ubieram się w garnitur i składam cefałki, tylko w jednym pośredniku biorą mnie poważnie. Przez kolejne 4 tygodnie przechodzę tam serię testów psychologicznych i traktują mnie trochę jako kuriozum - jestem w zasadzie jedynym facetem dla którego mają szukać takiej pracy. W końcu mam rozmowę w firmie ubezpieczeniowej, siedzimy w małym pokoju, a w około mnie – dosłownie z każdej strony – siedzi pięć kobiet w średnim wieku. One też mają na twarzy dziwny uśmieszek. Nie pytają mnie o moje doświadczenie zawodowe, ale o moją „osobowość”. Na początku nie wiem do końca jakich cech osobowości szukają, czy mam

być bardziej „samodzielny” czy też chodzi im o osobę, która świetnie odnajduje się w grupie. Po kilku chwilach decyduję się na to drugie i opowiadam dyrdymały, jak to kiedyś pomogłem koleżance nauczyć się jeździć na rowerze (chodzi im o umiejętność pomagania innym). Wydaje mi się, że wypadłem dobrze, choć ten dziwny uśmiezek na ich twarzach nie daje mi spokoju i w zasadzie nie mam zupełnie pojęcia, czy uważały, że się nadaję czy że jestem kompletnym idiotą. Po kolejnych 3 tygodniach, gdy mam już bilet powrotny, dzwonią do mnie z pośredniaka, że dostałem tę pracę. Ale już wtedy miałem wszystko skalkulowane – chcemy wrócić za 6 tygodni, rozpoczynanie pracy teraz zupełnie się nie kalkuluje – mogę zarobić wyłącznie sumę symboliczną, bo koszty na początku są duże. Ale już nie chodzi tu o pieniądze – po prostu *muszę* już wyjechać, jestem emocjonalnie wykończony. Nie dlatego, że szukałem tak długo pracy – to zeszło już dawno na dalszy plan, moim *pierwszym* zajęciem bardzo szybko stało się pomaganie innym, tym pracującym.

Muszę zaznaczyć: nie chodzi tu o Iżę. Mimo, że to ona nas utrzymuje, a ja gotuję, sprzątam, piorę itd., ani razu nie usłyszę od niej złego słowa. Mimo, że to ona pracuje o wiele ciężiej niż ja, narażona jest na większy stres i wyjeżdżając do pracy miała więcej do stracenia, jest cały czas dla mnie wyrozumiała i kochająca. Gdybyśmy mieszkali sami w jakimś przytulnym mieszkanku, mój pobyt w Anglii byłby cudowny. Jednak stać nas tylko na wynajęcie pokoju w domu z innymi polskimi gastarbajterami. Dla nich stanowią istne UFO, bo tu wszyscy dbają tylko o siebie, a ja dbam o kogoś innego. Szczególnie dla Staszka – znajomego znajomych, do którego dzwonię kilka tygodni przed przyjazdem z pytaniem jak wygląda sytuacja z pracą i czy nie ma gdzie się zatrzymać. Zwalnia się pokój w domu, w którym on mieszka wraz z swoją świeżoślubioną żoną i możemy się tam wprowadzić. Gdy rozmawiałem z nim przed przyjazdem, rozwodził się nad możliwościami jakie oferuje angielski rynek pracy, pierwszego dnia jak przyjechaliśmy, diametralnie zmienił ton: no, trzeba być „kreatywnym” żeby znaleźć pracę (oczywiście tę niekreatywną), bo taka jest konkurencja. Dopiero po jakimś czasie dowiaduję się, że Staszek gównie wie o co to znaczy szukać w UK pracy w pełnym sezonie – przyjechał w marcu i zarówno swoją pierwszą jak i drugą pracę dostał przez polecenie (to, co u nas nazywa się wstydliwie „znajomości” w UK jest zinstytucjonalizowane i nazywa się „recommend a friend”). Wzbudzam w Staszku uczucia które łączą zażenowanie z wyrzutami sumienia – on czuje się, poprzez to, że niby przyjechaliśmy ‘do niego’, współodpowiedzialny za moją ‘porażkę’ i gdy nadarza się okazja, stara się mnie „polecić” swojemu pracodawcy, ale nic z tego nie wychodzi. Staszek święcie wierzy w fikcję, że znajdziesz taką pracę, ja jaką zasługujesz. Mimo, że są w Anglii już od roku, jego żona wciąż nie pracuje; dla niej wyjazd okazał się bardzo trudny, bo rzuciła ciekawą pracę w Polsce dla niego i boleśnie kłuła ją deklasacja u boku męża w Anglii. Gdy po 2 tygodniach

pobytu ona wciąż nie miała pracy, Staszek próbował ją 'zmotywować' grożąc, że jak nie znajdzie sobie roboty, to będzie musiała szukać sobie innego lokum, bo on nie będzie na nią robił. To wszystko pomimo, że w Polsce to ona go utrzymywała, w czasie gdy on bezskutecznie szukał pracy przez prawie 2 lata. Staszek ukrywa słabości i lęki pod maską małomówniej męskości. Jego marzeniem jest praca w służbach wywiadowczych, jest jakby wycięty z filmów z lat 50tych, tylko włosów nie ma zaczesanych 'na fale', zdania wypowiada szybko, ale jakby od niechcienia, z kilkusekundowym opóźnieniem, pali jakby grał w filmach gangsterskich (skręty, bo niby zdrowsze), po mieszkaniu chodzi bez koszulki i nie przejmuje się rosnącym brzuszkiem – może sobie na to pozwolić jako jedyny żywiciel rodziny. Gdy do domu, w którym mieszka, zaczynają sprowadzać się na wakacje inni Polacy, którym – jak nam – Staszek nie odmawia 'pomocy', Staszek zaczyna się zachowywać jakby był ojcem nas wszystkich. Ale jednocześnie jest podirytowany tym, że dom, w którym jeszcze rok temu mieszkali sami Anglicy oraz on z żoną, teraz jest domem stuprocentowo polskim, że zachowujemy się jak typowi Polacy na dorobku, a on chciałby mieszkać 'normalnie'. Tylko do jednego z chłopaków mieszkających w pokoju obok mówi po imieniu, o tym drugim mówi 'ten drugi', zastanawiam się czy w ogóle zna jego imię – mimo, że mieszkają razem ponad pół roku. Jest typem indywidualisty, czas wolny spędza na czytaniu książek lub gazet, chce się uczyć angielskiego by dostać lepszą pracę, ale z Anglikami w pracy nie rozmawia (słucha kieszonkowego radia), bo nie 'nie ma o czym' – nie są na jego poziomie. Natomiast do mnie zwłaszcza ma coraz mniej cierpliwości. Jestem dla niego mało męski, bo nie mam pracy i – co dziwniejsze – nie przeszkadza mi to, tymczasowo spełniam się w roli gospodyni domowej, a gdy Izie smakuje kolacja, którą dla niej przygotowałem, jestem szczęśliwy (oczywiście nie zwieram mu się z tego, bo by tylko prychnął). Dla Staszka jestem taką sierotką Marysią, jeszcze większą niż jego żona, bo żona wiadomo, ma dodatkowe walory. A ja jestem Czystą Sierotką Marysią. Żona Staszka jest drugą obok mnie kura domową w tym domu. Często robimy zakupy razem, a nawet gotujemy dla naszych 'żywicieli'. Gdy kiedyś przygotowałem moje popisowe danie na niedzielny obiad, sam łapię się na tym, że traktuję Staszka inaczej niż pozostałych (a raczej pozostałe), chcę mu się przypodobać, udobruchać jego tę naburmuszoną męskość, chcę nawiązać kontakt, żeby był zadowolony, żeby mnie pochwalił. 'Co ja robię' – myślę, jak łapię się na tym, że gdy nakładam wszystkim porcje dania, Staszкови daję najwięcej, bojąc się, żeby nie miał za mało, jakby był górnikiem-ojcem-żywicielem dwunastoosobowej rodziny. Staszek jest równie niezadowolony, że nałożyłem mu tak dużo: przed obiadem, zniecierpliwiony, zjadł pół opakowania ciastek, jest pełny. Zjada tylko połowę dania, resztę odstawia tym słynnym gestem odepchnięcia talerza, odłożenia sztuców, głębokiego wydechu i osunięcia się na fotel. Nie, to nie był afront, to tylko przyzwyczajenie, taki nawyk, w ten sposób pewnie z reguły kończy posiłek. Dla mnie jednak to jest upokarzające. Jestem na

siebie strasznie zły i czuję się bardzo poniżony, nie tym co robi Staszek, ale wstydzę się sam przed sobą, bo zachowuję się jakbym był podrzędną samicą w jego stadzie, godzę się na reguły gry, które on narzuca. A przecież w zasadzie Staszek jedzie na tym samym wózku co ja i *my wszystkie* – gdy mówi o swojej pracy, to używa angielskiej nazwy: *housekeeper*, co jest eufemizmem na *cleaner*. Zdanie: *jestem sprzątaczką* nie przeszłoby mu przez gardło.

Kiedy zjawiają się do 'naszego domu' nowi gastarbajterzy, to ja muszę ich odebrać z dworca, to ja im pokazuję miasto, doradzam gdzie i jak szukać pracy, jak pisać cefalki, zaprowadzam do najbliższego supermarketu i pokazuję co warto kupować, bo jest tanie i jednocześnie pełnowartościowe. No, w zasadzie nie 'muszę', ale tak jakoś wychodzi – w końcu to ja mam najwięcej czasu. Gdy zjawia się kolejna parka, która ledwo co mówi po angielsku, wykonuję nawet za nich rozmowy telefoniczne z potencjalnymi pracodawcami. Gdy wracają styranie – jak my dwa tygodnie wcześniej – po całym dniu szukania pracy, pocieszam ich i podnoszę na duchu. Potem, gdy oni się wyprowadzą, szukam kogoś na ich miejsce. Pomagam sprzedać Marlboro, które przywożą ze sobą. W zasadzie codziennie coś muszę zrobić choć nie jestem zmęczony w taki sposób, w jaki jest Iza, która tyra fizycznie po 10 godzin dziennie. Zapominam już o tym, że ja też kiedyś tutaj szukałem pracy, żyję w ciągłym stresie, żeby poukładać ten pobyt tutaj Izie – muszę przede wszystkim znaleźć jej współlokatorkę w moje miejsce, bo postanawiam w pewnym momencie wyjechać, choć termin wciąż się odwleka. Ale też spadają na mnie coraz to nowe zmartwienia i obowiązki innych. Pewnego dnia Staszek informuje nas, że za tydzień przyjedzie matka z dzieckiem. Na początku ma mieszkać z nim (jego żona pojechała do Polski na miesiąc), ale potem nie wiadomo gdzie. Dla niej (też znajoma-znajomej) zgadzam się zostać dłużej, pomóc na początek, bo wiadomo, dramat, rozstanie, trudne początki nowego życia. Dla mnie znowu to samo: pokazywanie miasta, supermarketu, pośredniaków, do tego dochodzi opieka nad dzieckiem. Szczyt sezonu już przeszedł, dziewczyna jest ładna, mówi dobrze po angielsku, dostaje pracę w zasadzie od ręki. Dla mnie oznacza to kolejną ofertę: mam zajmować się dzieckiem w czasie gdy ona jest w pracy. Zgadzam się robić to do końca miesiąca, dłużej nie mogę, bo w zasadzie obciążałbym Izę kosztami opieki nad czyimś dzieckiem. Iza nigdy by tego tak nie powiedziała, chciała żebym został z nią do końca, pieniądze nie były dla niej aż tak ważne. Ale ja myślę już tylko o tym jak zorganizować funkcjonowanie całego domu, żeby wszystkim było dobrze, żeby było 'sprawiedliwie'. A to się nie da, bo matka stawia dobro swojego dziecka ponad wszystko, a dla mnie najważniejsze jest to, żeby Iza w spokoju mogła zarobić te pieprzone funty. Staszek, który zgodził się mieszkać z matką i dzieckiem chce ich się pozbyć, rzuca mi teksty typu: 'weź zrób coś z tym dzieckiem' gdy jej nie ma a ono chce się z nim bawić, mimo, że dziecko nie jest moje, to nie ja ich do

siebie zaprosiłem (a pomysł mojego zawodowego babysittowania jeszcze się nie zrodził), więc teoretycznie to on jest za nie bardziej niż ja odpowiedzialny.

Ja jednak stałem się już tak po prostu odpowiedzialny za wszystkich, ten dziwny gestarbajterowski dom stał się moim niepisanym obowiązkiem. Staszek już w zasadzie nie udaje, że jesteśmy niby na równi. Jego żona wyjechała, on robi nocki i nie radzi sobie z utrzymywaniem swego jednoosobowego gospodarstwa domowego. Pyta się mnie, czy idę jutro na zakupy. Mówię, że tak. Ok, to kupisz mi mleko? No, ok., odpowiadam z oporem. To kup mi cztery litry. Żadnego tłumaczenia, że nie mogę, nie mam czasu, robię nocki, po prostu to się rozumie samo przez się, że skoro jestem w domu, to mogę mu kupić cztery litry mleka. Nawet nie jeden litr, bo taka nadzwyczajna sytuacja, że mi się skończyło a jutro akurat jest potrzebne. Robienie mu zakupów w zasadzie to prawie już mój obowiązek, bo jestem jedyną gosposią w domu. Niby się zgadzam. Następnego dnia mówię, że nie miałem jak zabrać. Prosi, nie, raczej, wydaje polecenie, po raz kolejny. Po raz kolejny się zgadzam. Nie mam siły powiedzieć: nie, nie będę dla ciebie robił zakupów, nie jestem twoją gosposią, bo musiałbym się przyznać przed nim, że mnie upokorzył, że myśli o mnie: Marysia, sierotka Marysia. Wolę taktykę uników. Trzeci raz już daję sobie spokój. Mimo to, widzę, jak dzień po dniu traktuje mnie z coraz większym politowaniem. Jedyne co mi zostaje z cech mężczyzny na bezrobociu to to, że codziennie, po tym jak wyprawię Izę do pracy, idę do pokoju i robię tam pompki i brzuszki. Poza tym jestem już kobietą, bo wszyscy traktują mnie jak kobietę, za którą nikt się nie ogląda. Choć w relacji ze Staszkiem na klasyczną pogardę faceta (jego) wobec kobiety (mnie) zakłada się jeszcze chora męska rywalizacja. Staszek jest tym typem twardego faceta, który nigdy nie miał wystarczająco dużo samozaparcia, żeby skutecznie rzucić palenie. Kilka lat temu był świadkiem, przez przypadek, jak ja rzucałem, siedziało to na jego dumie. Gdy, po kolejnym emocjonalnie wykańczającym i stresującym dniu, łamię się i proszę go o papierosa, widzę w jego oczach satysfakcję. To ty palisz? Potem proponuje mi wspólne chodzenie na siłownię – bo to jest okazja, tylko 30 funtów na miesiąc. Gdy odpowiadam, że to dla mnie dużo, on udaje zdziwienie, dlaczego tak drobiazgowo liczę się z każdym groszem. Widzę już, że mnie nie słucha, jak rozmawiamy, gdy coś mówię, patrzy w podłogę. W końcu wybucha – o przysłowiową słońą zupę. Bo nie zdążyłem, zajęty przygotowywaniu obiadu na zapas dla Izy, opieką nad dzieckiem i innymi rzeczami, dokładnie wyczyścić blat stołu z mąki. 'Bo ty tutaj jesteś przecież gościem' – mówi mi, zdenerwowany. Więc powinienem się odpowiednio zachowywać. Bo on – jest tutaj *naprawdę*, a ja tylko na niby. Więc nie mam praw, można mną pomiatać. Bo to jest 'jego dom', on mnie tutaj sprowadził, więc on może mi powiedzieć, żebym zmiatał. Nie ważne, że on nie płaci za mój pobyt tam i w zasadzie wobec naszego landlorda jest w takim samym położeniu jak ja. Gdy Iza wraca z pracy i opowiadam jej o tym, jest wściekła.

Idzie do niego i ze stoickim spokojem mówi mu, żeby nigdy więcej nawet nie próbował do mnie mówić w taki sposób. Do Izy Staszek czuje respekt, podkula ogon i staje się miłszy. Ona bierze mnie w obronę. Uwielbiam ją za to.

Im dłużej tam mieszkam, tym więcej zdarza się podobnych sytuacji. Gdy odwiedza nas w weekend przyjaciel-Anglik, zostaje na noc i śpi na kanapie w livingroomie, eano, ni stad ni zowąd, pojawia się landlord i domaga się wyjaśnień. Anglik odpowiada, że nic mu nie musi wyjaśniać i że tak i tak landlord nie na prawa składać nagłych wizyt, tylko musi się zapowiedzieć z co najmniej trzydniowym wyprzedzeniem. Landlord jest wściekły, myśli, że z domu zrobiliśmy noclegownię. Jego cały gniew koncentruje się na mnie, nie robi ogólnej awantury, tylko ogłasza, że chce rozmawiać ze mną i właśnie ze mną. Udaję, że mnie nie ma, zastanawiam co zrobić. W końcu dzwonię do niego i kajam się, przepraszam. Gdyby chodziło o mnie, to powtórzyłbym mu to samo, co mój przyjaciel Anglik. Ale wiem, że muszę dla dobra i Izy i reszty zrobić z siebie lokaja i przepraszać. Żeby nas nie wyrzucił i żebym nie miał dodatkowych zmartwień na karku. W pewnym momencie czuję, że tylko Iza, oraz może mały Krzyś, który za nic nie rozumiał jeszcze tych wszystkich niesprawiedliwości, jakimi rządzi się ludzkie społeczeństwo, traktowali mnie jak pełnoprawnego człowieka i troszczyli się o mnie. Tylko od nich otrzymuję ciepło i miłość. Zawiodę się nawet i na parce, której pomagałem szukać pracy. Bardzo się z nimi zżyliśmy. W trakcie pożegnalnej imprezy (oni dostali prace w sąsiednim miasteczku i przeprowadzają się), on przez nieuwagę przebija dmuchany materac, na którym ja cały czas śpię. Tę i kilka następnych nocy muszę spać na kanapie w livingroomie. Nie ma problemu – myślę sobie. Jednak potem okazuje się, że oni nie spieszą się z odkupieniem materaca. Gdy już znajdują, to okazuje się, że jest 'za drogi' – bo kosztuje raptem 10 funtów, gdy w Polsce można go kupić za połowę tej ceny. Niech dziewczyna która ma przyjechać za tydzień go przywiezie – proponują. Jestem zdruzgotany – po to, aby oni zaoszczędzili tyle, ile zarabiają w godzinę, ja mam spać na kanapie przez ponad tydzień. Nie chce mi się wierzyć, że tak mnie potraktowali, myślę, że już nikt zupełnie o mnie nie dba. Nie chcę z nimi więcej mieć nic do czynienia, czuję się głęboko urażony. Iza bierze sprawę z swoje ręce, dzwoni, okazuje się, że to nieporozumienie. Starają się jak tylko mogą zatrzeć to moje niefortunne wrażenie, ja jestem przerażony jak łatwo uwierzyłem, że dla całego świata moje dobro liczy się najmniej, jak łatwo uwierzyłem, że jestem ofiarą, którą nawet i najbliższy przyjaciel pragnie w rzeczywistości skrzywdzić. Wiem, że jeszcze dwa miesiące temu w życiu bym czegoś takiego nie pomyślał, nie poczuł. Gdy o wszystkim tym myślę, jestem na placu zabaw, gdzie patrzę jak mój Krzyś bawi się z innymi, angielskimi, dziećmi. Na placu zabaw mogę trochę odetchnąć, tutaj wpisuję się w schemat 'dobrego ojca', który spędza czas ze swoim dzieckiem, nikt nie wie, że jestem opiekunką, nikomu by to do głowy nie przyszło, mimo że jestem tam w dziwnych

godzinach. Wtedy właśnie dostaję propozycję pracy jako sekretarki. Dostałem już inną pracę, dziękuję – odpowiadam i sprawia mi to ogromną satysfakcję, to kłamstwo reperuje moją zszarganą dumę, choć słyszę, że Julie z pośredniaka nie bardzo w to chce uwierzyć i dopytuje się jaką to pracę byłem w stanie dostać. Wiem już wtedy na pewno, że muszę wyjechać.

W zasadzie wszyscy, którzy wyjeżdżają na Wyspy i pracują w kiepskich pracach zwłaszcza w sektorze usługowym, stają się kobietami – i doświadczają tych typowo kobiecych upokorzeń, które zazwyczaj, gdy wszystko jest 'normalnie', spadają wyłącznie na osoby płci żeńskiej. U Staszka, który został w Anglii *sprzątaczką*, deklasacja objawiała się dezorientacją prowadzącą do kurczowego trzymania się modelu 'twardego faceta', który wszystkich, bez względu na ich fizyczną płć, którzy nie byli tacy twardzi jak on, traktował z pogardą, może nawet samemu nie zdając sobie z tego sprawy. W ten sposób zwracał on na zewnątrz pogardę wobec samego siebie, pogardę wobec własnej feminizacji której brutalnie doświadczał w Anglii. Ja w czasie tych kilku miesięcy stałem się gospodynią domową, opiekunką dla dzieci, oraz prawie sekretarką. Mimo, że już dawno nie byłem 'twardym facetem', to ten pobyt, którego teoretycznie był na 'niby', bo przecież w Anglii nie pracowałem, nic nie zarobiłem, a formalnie to mnie nawet i tam nie było, to doświadczenie to było dla mnie bardzo ważne. Myślę, że dzięki niemu mogę powiedzieć z trochę większą pewnością, że czasami rozumiem co to znaczy być kobietą. A raczej, że stałem się społecznym transseksualistą.